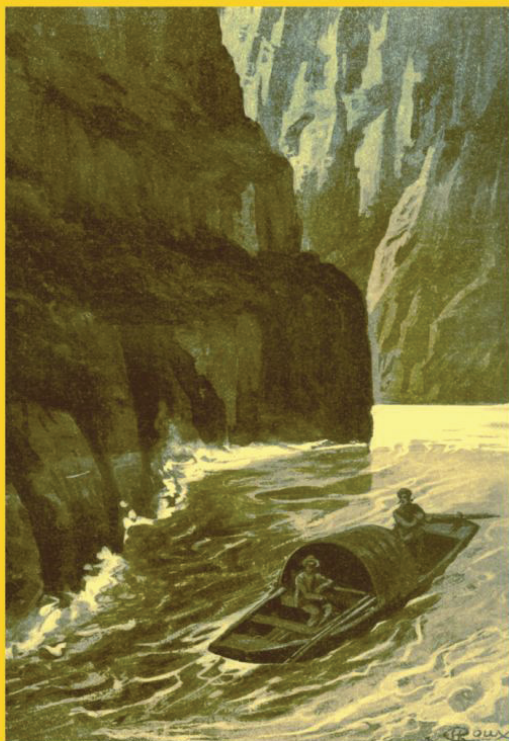


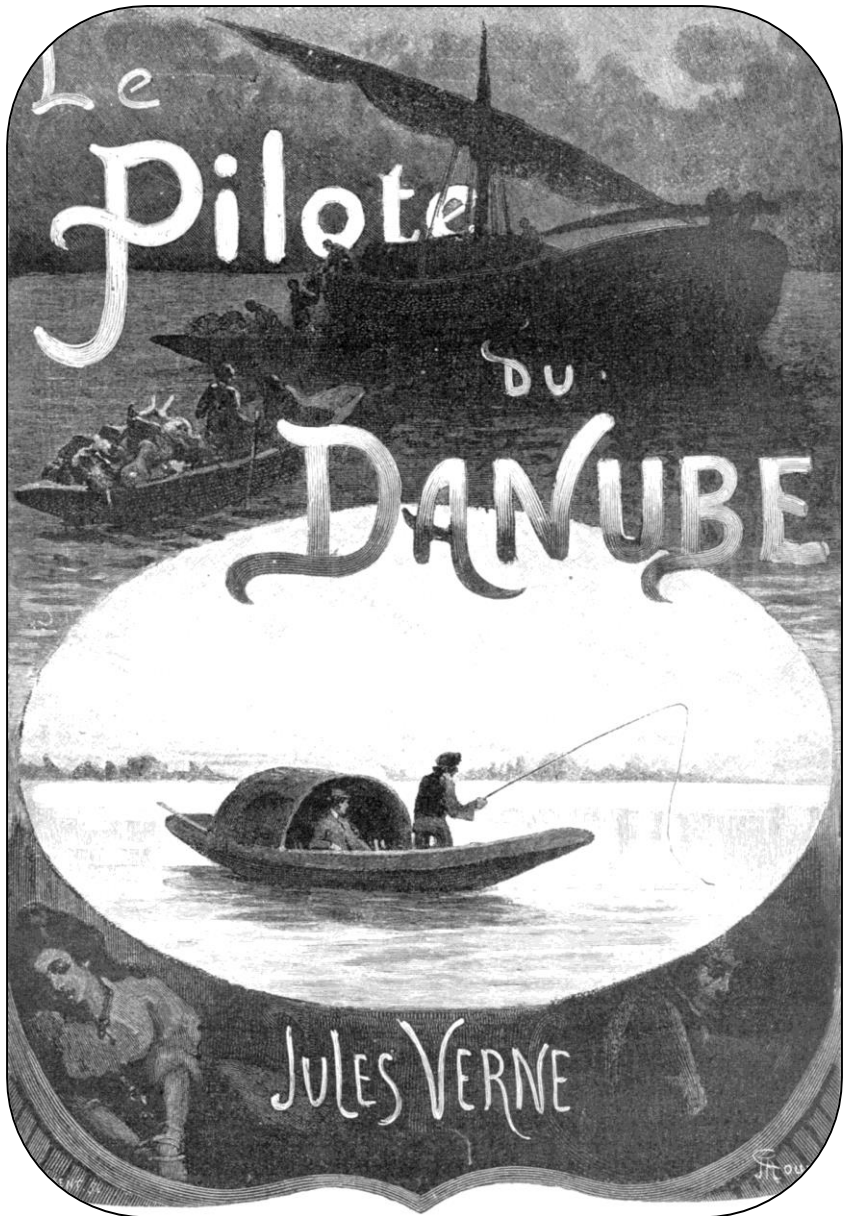


Juliusz Verne

Pilot dunajski



ISBN 978-83-67876-33-9



Le
Pilote
du
DANUBE

JULES VERNE

J. Verne

Juliusz Verne
PILOT DUNAJSKI

Juliusz Verne



PILOT DUNAJSKI

Przełożyła i przypisami opatrzyła Iwona Janczy

**Sto czterdziesta trzecia publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Le Pilote du Danube

© Copyright for the Polish translation
by Iwona Janczy, 2024

30 ilustracji, w tym 6 kart tablicowych kolorowych: George Roux
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© **Wydawca: JAMAKASZ**

ISBN 978-83-67876-33-9

Wstęp

Kończąc powoli serię „Biblioteka Andrzeja” z pełnymi polskimi przekładami dzieł Juliusza Verne’a, sięgamy po tytuły wydawane już po śmierci pisarza, i w dodatku mniej lub bardziej przeredagowane przez jego syna Michela. Należy do nich powieść *Pilot dunajski*, której wersję oryginalną, pod tytułem *Piękny żółty Dunaj*, opublikowaliśmy w 2017 roku w przekładzie Andrzeja Zydorcza.

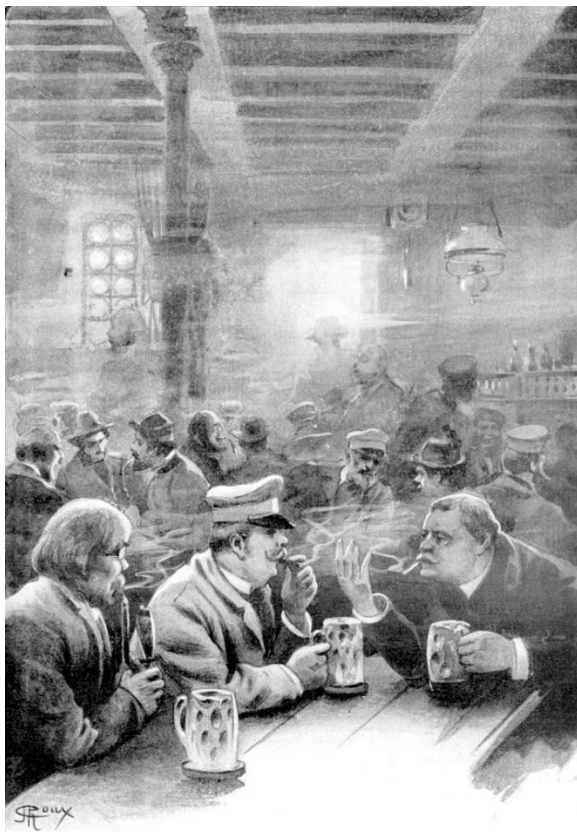
Spokojną powieść krajoznawczo-wędkarską, jaką był *Piękny żółty Dunaj*, Michel Verne zmienił w awanturniczą opowieść o bandzie grasującej wzdłuż największej rzeki środkowej Europy. Do szesnastu rozdziałów napisanych przez Juliusza Verne’a dodał jeszcze trzy. W dodatku wprowadził do utworu postać Jackela Semo, wzorowaną na człowieku, którego poznał podczas podróży po Bałkanach. Wystawił tym samym na szwank jego dobre imię, jako szanowanego obywatela i biznesmena, bowiem w książce uczynił zeń pilota rozbójników. Skończyło się to procesem, który Michel Verne wprawdzie wygrał, ale musiał zmienić personalia bohatera (nazwał go Jakub Ogul). No i na jaw wyszła jego ingerencja w dzieło ojca.

Powieść *Pilot dunajski* ukazywała się najpierw w odcinkach w czasopiśmie „Le Journal” (od 24 września do 2 listopada 1908 roku). Niecałe dwa tygodnie po zakończeniu serialu prasowego opublikowana została w formie książki, w małym formacie, z ilustracjami George’a Roux. Równocześnie wyszła w dużym formacie, jako samodzielny tom oraz w podwójnym woluminie, razem z powieścią *Polowanie na meteor*.

Po polsku *Pilot dunajski* ukazał się po raz pierwszy w 1911 roku, w Wydawnictwie Michała Arcta, w tłumaczeniu Marii Gą-

siorowskiej, pod tytułem *Tajemniczy rybak*. Dwa lata później ten sam przekład drukowany był w „Dzienniku Śląskim”, wychodzącym w Królewskiej Hucie (jak nazywał się wówczas Chorzów), oraz w „Kurierze Śląskim”, którego redakcja mieściła się w Zabrze. W 1925 roku Księgarnia Świętego Wojciecha wydała nowe tłumaczenie Karoliny Bobrowskiej, pod tytułem *Tajemniczy pilot*. Na kolejne, autorstwa Marka Sowińskiego, trzeba było czekać aż do 1990 roku – opatrzone tytułem *Pilot dunajskich statków* wypuściła na rynek Krakowa Agencja Wydawnicza. Z kolei Agencja Wydawnicza Egros odświeżyła cztery lata później przekład Karoliny Bobrowskiej, zaś w 2016 roku Hachette Polska zrobiła to samo z wersją Marii Gąsiorowskiej, zamieszczając ją w ozdobnej, ilustrowanej serii „Niezwyczajne Podróże Juliusza Verne’a”.

dr Krzysztof Czubaszek
prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a



Rozdział I

Konkurs w Sigmaringen¹



wego dnia, w sobotę piątego sierpnia 1876 roku, licznie zgromadzony i nader hałaśliwy tłum wypełniał gospodę

¹ *Sigmaringen* – miasto powiatowe w Niemczech, w kraju związkowym Badenia-Wirtembergia; leży nad Dunajem, ok. 80 km na południe od Stuttgartu; do XIX wieku stolica księstwa Hohenzollern-Sigmaringen, w którym panowała katolicka gałąź rodu Hohenzollernów, późniejszych królów Rumunii.

mieszczącą się pod szyldem „U Wędkarzy”. Przyspiewki, okrzyki, brzęk szklanek, oklaski i nawoływania stopiły się w straszliwy harmider, ponad którym nieomal w regularnych odstępach czasu wybijało się tradycyjne niemieckie *hoch!*¹ mające wyrażać apogeum germańskiego ukontentowania.

Okna gospody wychodziły wprost na Dunaj, stała zaś ona na skraju uroczego miasteczka Sigmaringen, stolicy pruskiej enklawy Hohenzollernów², położonej niemal u źródeł tej wielkiej rzeki Europy Środkowej.

Posłuszni zaproszeniu wymalowanemu pięknymi gotyckimi literami ponad głównym wejściem, tu właśnie spotykali się członkowie Ligi Naddunajskiej, międzynarodowego stowarzyszenia wędkarzy należących do różnorodnych nadbrzeżnych nacji. Bez wypitki nie ma prawdziwej zabawy! Płynęło więc dobre monachijskie piwo i dobre węgierskie wino, lejąc się w kufle i napełniając szklanice. Równocześnie palono bez umiaru, aż wielką biesiadną salę spowijały kłęby pachnącego dymu bezustannie unoszącego się z cybuchów długich fajek. Ale zgromadzeni, choć pewnie już się nawet dobrze nie widzieli, to za to świetnie się słyszeli – no chyba że byli głusi.

Spokojni i bardzo cisi podczas swych zajęć, wędkarze, gdy tylko odłożą wędkarskie przyrządy, należą w istocie do najgłośniejszych ludzi pod słońcem. A opowiadając o swych wycieczkach, w niczym nie ustępują myśliwym, a to już coś mówi!

Oto dobiegał końca najobfitszy z obfitych obiadów, który zgromadził wokół stołów gospody ze stu gości, samych rycerzy wędków, fanatyków spławika i czcicieli haczyka. Poranne ćwiczenia

¹ *Hoch!* (niem.) – toast.

² *Pruska enklawa Hohenzollernów* – Prowincja Hohenzollernów, utworzona w 1850 roku przez połączenie księstwa Hohenzollern-Sigmaringen i Hohenzollern-Hechingen, obu dawniej niezależnie rządzonych przez katolickie księżęce linie Hohenzollernów; była enklawą w obrębie Królestwa Prus.

na wodzie bez wątpienia mocno wpłynęły na przepustowość ich gardeł, sądząc po liczbie butelek stojących na blacie pomocniczego kredensiku. Teraz przysła kolej na całą gamę likierów, które mężczyźni wymyślili sobie, aby zastąpić popołudniową kawę.

Wybiła trzecia po południu, gdy goście, z coraz bardziej zaczerwienionymi obliczami, wstawali od stołu. Szczerze mówiąc, niektórzy z nich znajdowali się w stanie takiego oszołomienia, że musieli korzystać z pomocy sąsiadów. Większość jednakże twardo stała na własnych nogach, przywykła już i wprawiona do tych nadzwyczaj długich nasiadówek, które odbywały się kilka razy do roku w związku z zawodami organizowanymi przez Ligę Naddunajską.

Wielka była bowiem sława tych zawodów, cieszących się naprawdę dużą popularnością i chętnie świętowanych na całej długości słynnej żółtej rzeki, bynajmniej nie niebieskiej, jak to opiewa słynny walc Straussa¹. Chętni do udziału w konkursie przybywali licznie z księstwa Badenii, Wirtembergii, Bawarii, Austrii, Węgier, Rumunii, Serbii, a nawet z tureckich prowincji Bułgarii i Besarabii².

Stowarzyszenie liczyło sobie już pięć lat. Prosperowało, bardzo dobrze zarządzane przez jego prezesa, Węgra Miclesco. Jego stale rosnące zasoby pozwalały na oferowanie znaczących nagród w konkursach, a sztandar stowarzyszenia jaśniał blaskiem chwalebnych odznaczeń zdobytych w ciężkich zmaganiach z kon-

¹ Chodzi o walca *Nad pięknym modrym Dunajem* (*An der schönen blauen Donau*, op. 314) Johanna Straussa II, skomponowany w 1867 roku; popularność zyskał dopiero w wersji instrumentalnej, a pierwsze takie wykonanie miało miejsce 18 lutego 1867 roku, pod dyrekcją samego kompozytora.

² *Besarabia* – kraina pomiędzy dolnym Dniestrem a Prutem, nad Morzem Czarnym, wschodnia część dawnego Hospodarstwa Mołdawskiego, od XVI wieku część Imperium Osmańskiego, w roku 1812 zdobyta przez Rosję, obecnie podzielona między Ukrainę i Mołdawię.

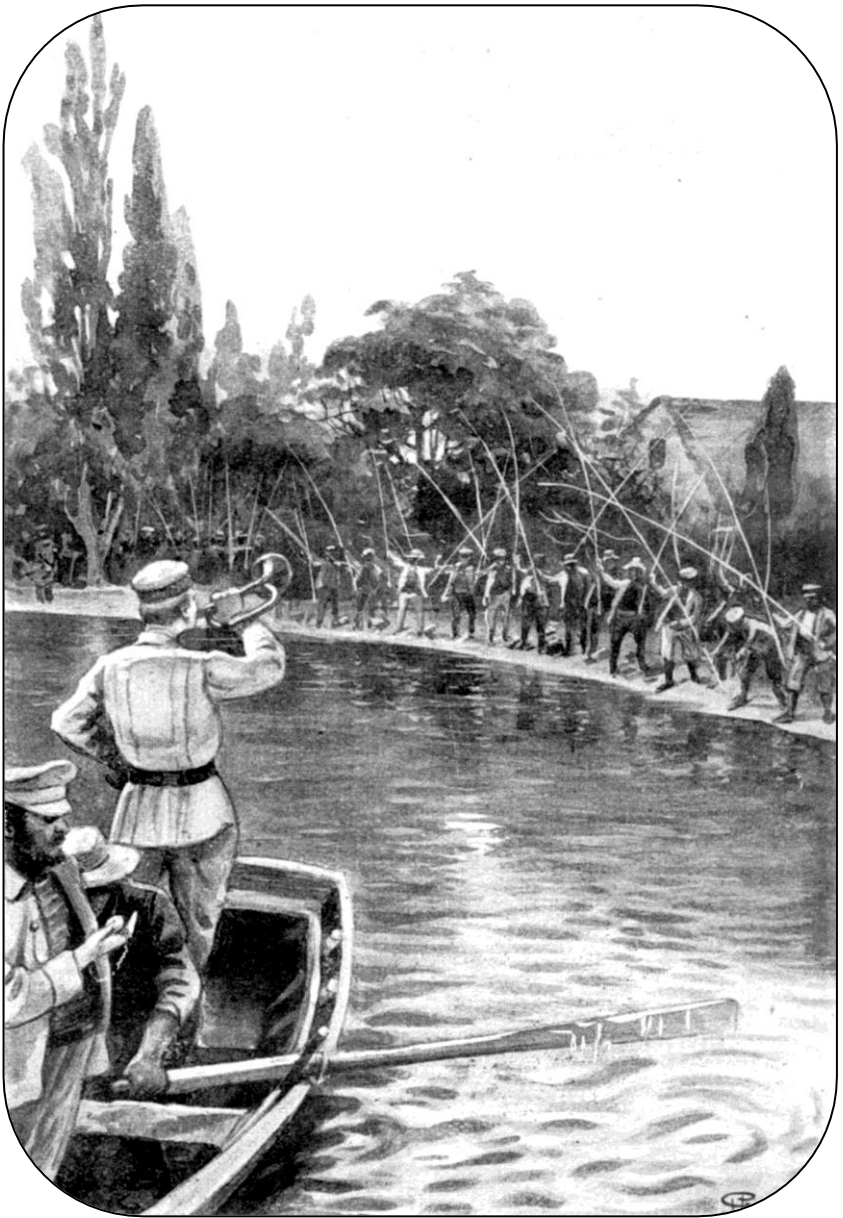
kurencyjnymi organizacjami. Zarząd stowarzyszenia doskonale orientował się w bieżącym prawie dotyczącym wędkarstwa rzeczno i nieustępliwie wspierał swoich członków zarówno w sprawach przeciwko państwu, jak i przeciwko osobom prywatnym. Bronił praw i przywilejów z zaciętą wytrwałością, można by powiedzieć – z zawodowym uporem charakterystycznym dla istot dwunożnych, co sprawiało, że wędkarskie instynkty urastały tu do jakiejś szczególnej kategorii ludzkiej działalności.

Zawody, o których tu mowa, były drugimi w roku 1876. O piątej rano zawodnicy opuścili miasto, aby dotrzeć na lewy brzeg Dunaju, nieco w dół rzeki od Sigmaringen. Wszyscy oni prezentowali się w uniformach stowarzyszenia, a mianowicie w krótkich bluzach dających sporą swobodę ruchów, spodniach wpuszczonych w wysokie buty na grubej podeszwie oraz w białych czapkach ocienionych szerokimi daszkami. Oczywiście wyposażeni byli również we wszelaki sprzęt wymieniany w *Podręczniku wędkarza*: wędki, wędziska, podbieraki¹, żyłki zwinięte w etui z jeleniej skóry, szaławiki, sondy, ołowiane kulki przeróżnych rozmiarów przeznaczone na ciężarki, sztuczne muchy, sznurki oraz tak zwane włosie florenckie². Sposób łowienia był dowolny w tym sensie, że każda ryba uznawana była za dobry połów, a każdy wędkarz mógł zanęcać swoje łowisko według własnego uznania.

Dokładnie z wybiciem szóstej dziewięćdziesięciu siedmiu zawodników zamarło na swoich stanowiskach z wędziskami w dłoniach, gotowych do zarzucenia haczyków. Rozległ się sygnał trąbki i dziewięćdziesiąt siedem wędek zarzuconych identycznym ruchem zawisło ponad nurtem rzeki.

¹ *Podbierak* – worek sieciowy rozpięty na ramie z długim trzonkiem, służący do wyjmowania z wody złowionych ryb.

² *Włosie florenckie* – mocne, ale bardzo cienkie jedwabne nici stosowane w chirurgii oraz w wędkarstwie.



Aż do drugiego sygnału trąbki, który za pięć jedenasta obwieścił zakończenie konkursu, nie doszło do żadnego incydentu.

W konkursie było do wygrania wiele nagród, spośród których jednak dwie pierwsze były najważniejsze, bo aż po sto florenów¹ każda. Miały być one przyznane temu wędkarzowi, który złowi najwięcej ryb oraz temu, który złowi najcięższy okaz.

Aż do drugiego sygnału trąbki, który za pięć jedenasta obwieścił zakończenie konkursu, nie doszło do żadnego incydentu. Wszystkie zdobycze zostały okazane komisji złożonej z przewodniczącego Miclesco i czterech członków Ligi Naddunajskiej. Nikt nie wątpił, że te szanowane i wpływowe osobistości podejmą bezstronne decyzje niepodlegające późniejszemu dyskusjom, chociaż dobrze wiadomo, jak zapalczywe głowy miewa wędkarski świat. Aby jednak poznać wyniki sumiennego badania szacownego gremium, trzeba było uzbroić się w cierpliwość. Ocena zarówno wagi, jak i liczby złowionych okazów miała pozostać w tajemnicy aż do chwili ogłoszenia zwycięzców i zostać poprzedzona uroczystym wspólnym posiłkiem, gromadzącym wszystkich uczestników zawodów.

Taka chwila nadeszła. Wędkarze, a także ciekawscy, którzy przybyli z Sigmaringen, czekali już wygodnie usadowieni przed podestem, na którym znajdował się przewodniczący jury wraz z towarzyszącymi mu członkami stowarzyszenia.

Doprawdy! Tak jak nie brakowało tu siedzisk, ławek czy taboretów, to w równym stopniu nie brakowało też i stołów, a na nich kufla z piwem, licznych butelek z różnymi trunkami, a także dużych i małych szklaneczek.

Zgromadzeni zajęli swoje miejsca, nie zaprzestając ani na chwilę kopcenia ile wlezie z fajek, a przewodniczący jury powstał.

¹ *Floren* – złota moneta o ciężarze 3,5 g, wybijana we Florencji od 1252 roku; dzięki stabilnej wartości stała się główną europejską złotą monetą, od XIV wieku często naśladowaną (m.in. Włochy, Czechy, Węgry, Francja, Niderlandy); w dawnej Polsce od XV wieku nazwa złotego polskiego; srebrna moneta niemiecka i szwajcarska (gulden); w latach 1857-1892 floren austriacki, waluta Austrii i Węgier (forint).

– Słuchajcie...! Słuchajcie...! – wołano ze wszystkich stron.

Pan Miclesco na początek opróżnił do dna kufel ze spienionym piwem, którego piana zaperliła się na czubkach jego wąsów.

– Drodzy koledzy – powiedział po niemiecku, w języku rozumianym przez wszystkich członków Ligi Naddunajskiej pomimo ich różnych narodowości – nie oczekujcie ode mnie klasycznie skompowanego przemówienia, ze wstępem, rozwinięciem i zakończeniem. Nie, nie zebraliśmy się tu, aby upajać się oficjalnymi przemowami, a ja jestem tu tylko po to, aby pomówić o naszych codziennych sprawach, jak to bywa pośród dobrych przyjaciół, powiedziałbym nawet, jak pośród braci, jeśli to określenie uznacie za stosowne dla tak międzynarodowego zgromadzenia.

Oba te trochę przydługie zdania, jak zwykle rozpoczynające wszystkie przemówienia, nawet wówczas gdy mówca pozornie wzbrania się przed wygłaszaniem mowy, zostały powitane jednogłośnie i powszechnym aplauzem, zewsząd dochodziły okrzyki: *bardzo dobrze! bardzo dobrze!*, na przemian z nieśmiertelnym *hoch!*, a nawet z odgłosami czkawki. Następnie ku przewodniczącemu, który wznosił swoją szklanę, uniosły się gestem aprobaty pełne szklanice.

Pan Miclesco kontynuował swoje przemówienie, umieszczając wędkarzy w awangardzie ludzkości. Z pasją punktował wszelkie zalety, wszelkie cnoty, jakimi hojna natura obdarzyła wędkujących. Mówił, jak bardzo przy tym zajęciu potrzebne są cierpliwość, pomysłowość, zimna krew, a nawet i wyższa inteligencja, aby odnieść sukces w tej sztuce, gdyż zdecydowanie nie jest to jakaś tam sobie praca, ale właśnie sztuka, którą postawił znacznie ponad umiejętnościami łowieckimi, jakimi niesłusznie chełpią się myśliwi.

– Czy można porównywać polowanie z łowieniem ryb?! – wykrzyknął.

– Nie...! Nie...! – odpowiedzieli wszyscy zgromadzeni.

– Jakaż to zasługa zabicie kuropatwy lub zająca, gdy ma się je w zasięgu wzroku, a do tego jeszcze psa. Czy my mamy psy, które w naszym imieniu tropiłyby zdobycz...? A więc ta zwierzyna... widzisz ją z daleka, celujesz do niej, ile ci się podobają, i walisz w nią niezliczonymi ziarenkami śrutu, z których większość i tak chybia...! Tymczasem co do ryb, jest dokładnie odwrotnie... Ukrytych pod wodą nie można śledzić wzrokiem... Wymagają zręcznych manewrów, delikatnych zachęt, wysiłku intelektu i umiejętności, by skłonić je do chwycenia przynęty, dobrze nadziać na haczyk i wyciągnąć z wody, czasem zupełnie bezwładną na końcu linki, a czasem trzepoczącą się, że tak powiem, jakby sama oklaskiwała zwycięstwo wędkarza!

Tym razem był to już prawdziwy grzmot braw. Z całą pewnością przewodniczący Miclesco potrafił zagrać na uczuciach towarzyszy z Ligi Naddunajskiej. Dobrze wiedział, że nie ma czegoś takiego jak granica w chwaleńcu swych kamratów, dlatego bez obawy, że zostanie posądzony o przesadę, umieścił ich szlachetny sport ponad wszystkimi innymi, wyniósł żarliwych adeptów nauki o rybach i ich zachowaniu do nieba, przywołując pamięć wspaniałej bogini¹, która przewodniczyła ceremoniom rybackim starożytnego Rzymu.

Czy jego słowa zostały należycie zrozumiane? Zapewne tak, gdyż wywołały falę entuzjastycznego tupania.

Tak więc po krótkiej przerwie na złapanie oddechu i opróżnieniu do dna kufła z pieniącym się piwem mówca kontynuował:

– Pozostaje mi tylko na koniec – powiedział – pogratulować i sobie, i wam nieustannego rozwoju naszego stowarzyszenia,

¹ Prawdopodobnie chodzi o Salację (Venilię), rzymskie bóstwo z orszaku Neptuna, uosobienie słonej wody, odpowiedniczkę greckiej Amfitryty; Salacja była małżonką Neptuna i wraz z nim sprawowała władzę nad morzami, będąc zarazem uosobieniem piękna morza; jej atrybutami były delfin, diadem, berło, muszla w kształcie rogu.

które każdego roku powiększa się o nowych członków i którego reputacja jest tak ugruntowana na terenie całej Europy Środkowej. O sukcesach nie będę mówił, gdyż znacie je doskonale i w znacznej części są one waszą zasługą. Wielki to zaszczyt uczestniczyć w naszych konkursach! Prasa niemiecka, prasa czeska, prasa rumuńska nigdy nie szczędziły nam swoich cennych pochwał, dodam, że całkowicie zasłużonych. Dlatego teraz wznoszę toast za dziennikarzy, którzy tak wiele zdziałali na rzecz międzynarodowej sprawy Ligi Naddunajskiej!

Oczywiście z chęcią przyznano rację przewodniczącemu Miclesco. Zawartość butelek w mgnieniu oka powędrowała do szklanek, a stamtąd z kolei do gardeł i to z taką łatwością, z jaką wody wielkiej rzeki wraz z dopływami wpadają do morza.

Na tym by poprzestano, gdyby przemówienie przewodniczącego zakończyło się tym ostatnim toastem. Jednakże, co zrozumiałe przy podobnej okazji, poczęto wznosić kolejne.

Przewodniczący, znajdujący się pomiędzy sekretarzem a skarbnikiem wyprostował się na całą wysokość, podobnie jak jego koledzy, a każdy z nich w prawej dłoni dzierżył kieliszek szampana, lewą zaś trzymał na sercu.

– Piję za Ligę Naddunajską – powiedział pan Miclesco, ogarniając wzrokiem zebranych.

Na wezwanie pana Miclesco zgromadzenie powstało jak jeden mąż z kieliszkami na wysokości ust. Niektórzy wspięli się na ławki, a nawet na stoły.

Po opróżnieniu kielichów przewodniczący nappełnił je z wielką energią ze stojących przed nim i jego asystentami licznych butelek i podjął:

– Za różne narody znajdujące się w szeregach naszej Ligi Naddunajskiej! Zdrowie Badeńczyków, Wirtemberczyków, Bawarczyków, Austriaków, Węgrów, Serbów, Wołochów, Mołdawian, Bułgarów i Besarabów!

Besarabowie, Bułgarzy, Mołdawianie, Wołosi, Serbowie, Węgrzy, Austriacy, Bawarczycy, Wirtemberczycy i Badańczycy zgodnie odpowiedzieli na wezwanie, jednym haustem opróżniając zawartość swoich kielichów.

W końcu przewodniczący definitywnie zakończył swoje wystąpienie, ogłaszając, że teraz pije za zdrowie każdego z członków stowarzyszenia. Ale choć ich liczba dochodziła do czterystu siedemdziesięciu trzech, niestety zmuszony był zadowolić się tylko jednym toastem.

Odpowiedziano mu tysięcznymi *hoch!*, co trwało i trwało, aż całkowitego zdarcia strun głosowych.

Tak oto zakończył się drugi punkt programu, z których pierwszy nastąpił wraz z ukończeniem biesiady. Trzeci miał polegać na ogłoszeniu laureatów.

Naturalnie wszyscy oczekiwali z napięciem, gdyż, jak to już powiedziano, tajemnica komisji została dochowana. Nadszedł jednakże czas, by ją w końcu poznać.

Przewodniczący Miclesco przystąpił do odczytania oficjalnej listy nagród w obu kategoriach.

Zgodnie ze statutem Stowarzyszenia w pierwszej kolejności ogłaszano nagrody o mniejszej wartości, co czyniło odczytywanie tego rodzaju listy nagród jeszcze bardziej interesującym.

Po wyczytaniu ich nazwisk na podium prezentowali się zwycięzcy niższych nagród w kategorii liczby złowionych ryb. Przewodniczący każdemu z nich ścisnął dłoń, równocześnie wręczając dyplom i pewną kwotę pieniędzy, w zależności od uzyskanego wyniku.

Schwyte podczas konkursu ryby mógł złowić w wodach Dunaju dosłownie każdy. Były to cierniki¹, płocie, kiełbie, gła-

¹ Ciernik (*Gasterosteus aculeatus*) – gatunek ryby z rodziny ciernikowatych (*Gasterosteidae*); występuje na półkuli północnej, w Polsce pospolity; tworzy dwie formy: słodko- i słonowodną; długość do 8 cm; na grzbiecie 2-5 kolców.

dzice¹, okonie, liny, szczupaki, klenie² i inne. Owe niższe nagrody zgarnęli Wołosi, Węgrzy, Badeńczycy i Wirtemberczycy.

Drugą nagrodę, za złowienie siedemdziesięciu siedmiu ryb, otrzymał Niemiec o nazwisku Weber, którego sukces powitano gorącymi brawami. Wspomniany Weber był zresztą dobrze znany swym kamratom z zawodów. Już w poprzednich konkursach raz za razem zajmował czołowe miejsca i powszechnie oczekiwano, że tego dnia dochrapie się pierwszej nagrody.

Ale nie. W jego siatce znajdowało się tylko siedemdziesiąt siedem ryb... Siedemdziesiąt siedem starannie policzonych i jeszcze raz przeliczonych, podczas gdy inny konkurent, jeśli nie bardziej zręczny, to na pewno szczęśliwszy, przyniósł w swojej siatce dziewięćdziesiąt dziewięć ryb.

Ogłoszono nazwisko owego mistrza wędkarstwa. Był nim Węgier, niejaki Ilia Brus.

Słyszac nazwisko Węgra, nikt ze zdumionych zgromadzonych nawet nie zaklaskał. Był on całkowicie nieznany członkom Ligi Naddunajskiej, do której musiał wstąpić bardzo niedawno.

Ponieważ laureat nie uznał za konieczne stawić się po odbiór nagrody w wysokości stu florenów, przewodniczący Miclesco bez dalszej zwłoki przeszedł do odczytywania listy zwycięzców w kategorii wagowej. I tu wśród uhonorowanych byli Rumuni, Słowianie i Austriacy. Ogłoszenie nazwiska osoby, której przyznano drugą nagrodę, podobnie jak miało to miejsce w przypadku Niemca Webera, wzbudziło powszechny aplauz. Pan Ivetozar, jeden z członków zarządu stowarzyszenia, zatrium-

¹ *Gładzica (Pleuronectes platessa)* – ryba z rodziny flądrowatych; żyje w szelfach północno-zachodniego Atlantyku, Morzu Śródziemnym i Bałtyku; długość do 90 cm, przeciętnie 30-50 cm, ciężar do 7 kg; ceniona dla smacznego mięsa.

² *Kleń (Leuciscus cephalus)* – ryba z rodzaju jeliców, z rodziny karpiovatych; żyje w wodach słodkich Europy z wyjątkiem jej północnej części; długość do 80 cm (przeciętnie 20-40 cm), ciężar ok. 4-5 kg.

fował trzyipółfuntowym kleniem, który z pewnością wymknąłby się wędkarzowi o mniejszej zręczności i mniejszym opanowaniu. Ivetozar należał do grona najwybitniejszych, najbardziej aktywnych i oddanych członków stowarzyszenia, a w swoim czasie zdobył także najwięcej nagród. Został zatem powitany jednogłośnie aplauzem.

Pozostała do przyznania już tylko pierwsza nagroda w kategorii wagi, a w oczekiwaniu na nazwisko zwycięzcy serca wszystkie serca były szybszym rytmem.

Jakież było zdziwienie, ba, więcej niż zdziwienie, ogólne osłupienie, gdy przewodniczący Miclesco głosem, którego drżenia nie mógł opanować, odezwał się w te słowa:

– Pierwszą nagrodę w kategorii wagowej za siedemnastofuntowego szczupaka otrzymuje Węgier Ilia Brus!

Na widowni zapadła absolutna cisza. Dłonie gotowe już do oklasków pozostały nieruchome, usta gotowe do wiwatowania na cześć zwycięzcy milczały. Powszechne zdumienie unieruchomiło zebrane audytorium.

Czy ten Ilia Brus w końcu się pojawi? Czy przyjdzie odebrać od przewodniczącego Miclesco swoje honorowe dyplomy wraz z towarzyszącymi im dwustu florenami?

Nagle przez zgromadzenie przebiegł szmer.

Jeden z obecnych, który do tej pory trzymał się trochę na uboczu, zmierzał w stronę estrady.

Był to Węgier Ilia Brus.

Sądząc po jej schludnie ogolonej twarzy, otoczonej gęstymi, atramentowoczarnymi włosami, Ilia Brus nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Ponadprzeciętnej postury, o szerokich barach, z korpusem dobrze osadzonym na nogach, wyglądał na wielkiego siłacza. Doprawdy, dziwne to było, że ktoś podobnej konstrukcji lubuje się w łagodnych wędkarskich rozrywkach, i to aż do tego

stopnia, że osiągnął w tej trudnej sztuce niepodważalne mistrzostwo, potwierdzone wynikiem obecnego konkursu.

Kolejną osobliwość stanowił wzrok Ilii Brusa, w taki czy inny sposób musiał być on bowiem dotknięty jakąś wadą, gdyż duże czarne okulary całkowicie ukrywały jego oczy, których koloru nie sposób było rozeznaczyć. Tymczasem to właśnie wzrok jest najcenniejszym ze zmysłów dla wszystkich fascynatów niemalże niedostrzegalnych poruszeń spławika, a dobre oczy stanowią podstawę w udaremnianiu rozlicznych rybich forteli.

Jednak bez względu na to, czy ktoś się dziwił, czy nie, pozostawało tylko zaakceptować fakty. Bezstronność jury nie pozostawiała wątpliwości. Zwycięzcą konkursu został Ilia Brus, i to w okolicznościach, jakie jeszcze nigdy w historii Ligi Naddunajskiej nie zaszły. Lody puściły i przyzwoicie donośne brawa powitały triumfatora w chwili, gdy ten odbierał z rąk przewodniczącego Miclesco swoje dyplomy i ich pieniężny ekwiwalent.

Gdy to się już odbyło, Ilia Brus, zamiast zejść z podium, odbył krótką rozmowę z przewodniczącym stowarzyszenia, po czym zwrócił się do zaintrygowanych tymi manewrami zgromadzonych, prosząc gestem o ciszę, która niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki natychmiast zapadła.

– Panowie, drodzy koledzy – odezwał się Ilia Brus – pozwólcie, że powiem kilka słów, na co zresztą otrzymałem uprzejmą zgodę pana przewodniczącego.

W ciszy, jaka teraz zapadła, dałoby się posłyszeć muchę w locie. Cóż miało oznaczać to wystąpienie, którego nie przewidziano w programie?

– Przede wszystkim – kontynuował Ilia Brus – pragnę podziękować wam wszystkim za życzliwość i oklaski, ale wiercie mi, że podwójny sukces, jaki osiągnąłem, nie uderza mi do głowy. Zdaję sobie sprawę, że łatwo mógłby należeć do znacznie

bardziej ode mnie zasłużonych, z powodzeniem mógłby go odnieść któryś z długoletnich członków Ligi Naddunajskiej, obfitującej w dzielnych wędkarzy, i że zawdzięczam go raczej łutowi szczęścia niż własnym zasługom.

Skromność tego wstępu natychmiast została doceniona przez publiczność, toteż z wielu stron słyszało się przytłumione: *dobrze gada!*

– Pomyślałem, że powinienem ten szczęśliwy traf odpowiednio wykorzystać, dlatego wpadłem na pomysł, który, jak sędzę, może zainteresować zebrane tu grono znakomitych wędkarzy. Jak panom wiadomo, ostatnimi czasy zapanowała moda na bicie rekordów. Dlaczego nie mielibyśmy pójść w ślady innych sportowców, w dyscyplinach wcale nie lepszych od naszej, i nie podjąć próby ustanowienia rekordu wędkarskiego?

Przez publiczność przebiegały stłumione okrzyki. Słychać było: *ach! ach!, To dopiero!, A czemuż by nie!?* Każdy z członków stowarzyszenia dawał wyraz emocjom zgodnie z własnym temperamentem.

– Kiedy pomysł ten – kontynuował mówca – po raz pierwszy przyszedł mi do głowy, z miejsca go podchwyciłem i natychmiast zrozumiałem, w jaki sposób powinien zostać zrealizowany. Zresztą moja przynależność do Ligi Naddunajskiej bardzo całą rzecz upraszcza, bo tylko od Dunaju zależeć będzie powodzenie całego przedsięwzięcia. Postanowiłem więc spłynąć wodami tej wspaniałej rzeki od samego jej źródła aż do Morza Czarnego, a podczas tej liczącej trzy tysiące kilometrów podróży utrzymywać się wyłącznie z tego, co schwytam na wędkę. Dzisiejsze powodzenie jeszcze bardziej zwiększyło, o ile to w ogóle możliwe, moje pragnienie odbycia tej podróży, która, jestem tego pewien, wzbudzi i wasze zainteresowanie, dlatego w tym momencie ogłaszam, że mój wyjazd wyznaczony jest na

dziesiątego sierpnia, czyli na następny czwartek. Zapraszam więc wszystkich chętnych na linię startu, dokładnie w miejscu, w którym Dunaj bierze swój początek.

Łatwiej sobie wyobrazić niż opisać olbrzymi entuzjazm wywołany tą nieoczekiwaną zapowiedzią. Burza szaleńczych oklasków i nawoływania *hoch!* trwały nieprzerwane przez całe pięć minut.

Podobne wydarzenie nie mogło się skończyć ot tak sobie. Rozumiał to doskonale pan Miclesco i jak zawsze zachował się jak na prawdziwego przewodniczącego przystało. Uniósł się z miejsca i wprawdzie nieco już przyciężkawo ponownie wyrósł pomiędzy dwoma członkami jury.

– Za zdrowie naszego towarzysza Ilii Brusa! – powiedział wzruszonym głosem, unosząc kieliszek szampana.

– Za zdrowie Ilii Brusa! – odpowiedzieli gromko zgromadzeni, po czym natychmiast nastąpiła głęboka cisza, gdyż niestety niefortunna natura człowieka nie pozwala mu na jednoczesne wznoszenie okrzyków i picie.

Jednak cisza ta trwała tylko mgnienie oka. Pieniące się bąbelki dodały znużonym gardłom nowego wigoru i pozwoliły na dalsze wznoszenie niezliczonych toastów za zdrowie, aż do chwili, gdy tego dnia, w sobotę piątego sierpnia 1876 roku, w uroczym miasteczku Sigmaringen pośród ogólnie panującej radości ogłoszono zamknięcie słynnego konkursu wędkarzy.



Rozdział II

U źródeł Dunaju

Czy Ilia Brus, ogłaszając wszem wobec podczas uroczystości w oberży „U Wędkarzy” swój plan spłynięcia z nurtem Dunaju z wędką w ręku, liczył na sławę? Jeśli rzeczywiście był to jego cel, to mógł sobie pogratulować, gdyż został osiągnięty.

Prasa natychmiast rzuciła się na to wydarzenie i wszystkie bez wyjątku gazety z regionów naddunajskich poświęciły konkursowi w Sigmaringen mniej lub bardziej sążniste artykuły, mocno łechtające miłość własną zwycięzcy, którego nazwisko nagle stało się wyjątkowo popularne.

Już nazajutrz na łamach wiedeńskiego wydania „Neue Freie Presse”¹ z szóstego sierpnia pojawił się następujący tekst:

Ostatnie zawody wędkarskie Ligi Naddunajskiej zakończyły się wczoraj w Sigmaringen prawdziwym zwrotem akcji, którego bohaterem stał się Węgier Ilia Brus, wczoraj zupełnie nieznany, dziś prawie bohater.

Cóż takiego uczynił Ilia Brus, by zasłużyć na tę nagłą sławę?

Po pierwsze, temu zręcznemu człowiekowi udało się zdobyć dwie pierwsze nagrody, zarówno w kategorii wagi okazu, jak i w kategorii liczby złowionych ryb, znacznie zresztą wyprzedzając wszystkich pozostałych konkuren-

¹ *Neue Freie Presse* – u J. Verne’a: *Neue Freie Press*; wiedeńska gazeta założona przez Adolfa Werthnera wraz z dziennikarzami Maxem Friedländerem i Michaelem Etiennem 1 września 1864 roku; istniała do 31 stycznia 1939 roku.

tów, czego, jak się zdaje, nigdy jeszcze dotychczas nie widziano od początku istnienia tych zawodów, a to już niemało! Ale i nie wszystko!

Wydawać by się mogło, że ktoś, kto zebrał takie laury, ktoś, kto odniósł tak widowiskowe zwycięstwo, ma prawo do zasłużonego odpoczynku. Jednakże nie jest to opinia tego zadziwiającego Węgra, który postanowił nas jeszcze bardziej zaskoczyć.

Jak zostaliśmy poinformowani – a wiarygodność naszych informacji nie budzi żadnych wątpliwości – Ilia Brus oznajmił swym kolegom, że oto planuje przepłynąć cały Dunaj z wędką w dłoni, poczynawszy od jego źródła w księstwie Badonii do ujścia w Morzu Czarnym. Trasa ta liczy około trzech tysięcy kilometrów.

Będziemy na bieżąco informować naszych czytelników o postępach tego oryginalnego przedsięwzięcia.

Ilia Brus wyrusza w następny czwartek, czyli dziesiątego sierpnia. Życzymy mu szczęśliwej podróży, ale mamy równocześnie nadzieję, że ów nieustraszony wędkarz nie wytepi całkowicie, aż do ostatniego przedstawiciela, wszystkich gatunków ryb zasiedlających tę wielką, międzynarodową rzekę!

Tak pisano w wiedeńskiej „Neue Freie Presse”. Nie mniej życzliwie wypowiedział się również budapeszteński „Pester Lloyd”¹, podobnie zresztą jak i „Srpske Novine”² z Belgradu

¹ *Pester Lloyd* – dziennik wydawany w latach 1854-1945, do 1918 wiodąca niemieckojęzyczna gazeta na Węgrzech; Pester znaczy peszteński.

² *Srpske novine* – u J. Verne’a: Srbské Noviné; pierwsza gazeta we współczesnej Serbii, początkowo zatytułowana „Novine srbske”; ukazała się w Kragujevacu w 1834 roku; jej tygodniowy nakład wynosił 300 egzemplarzy; w 1835 roku wydawnictwo pisma przeniesiono do Belgradu; w 1845 roku zmieniono na-

i „Românul”¹ z Bukaresztu. Wszędzie tam informacja ta urosła do rozmiarów kilkustronicowych artykułów.

Artykuły obliczone na przyciągnięcie uwagi na Ilię Brusa doskonale spełniły swoje zadanie, i jeśli prawdą jest, że prasa stanowi odzwierciedlenie opinii publicznej, to należało przypuszczać, że w miarę postępów w podróży zainteresowanie to jeszcze wzrośnie.

Czy zresztą w głównych miastach na swoim szlaku podróżnik nie znajdzie innych członków Ligi Naddunajskiej, którzy z całą pewnością poczytają sobie za obowiązek przyczynić się do sukcesu swego kolegi? Nie ma wątpliwości, że w razie potrzeby otrzyma od nich potrzebną pomoc.

Już teraz te gazetowe wzmianki okazały się wielką rewelacją pośród wędkarzy, a projekt Ilii Brusa nabrał w ich oczach ogromnego znaczenia. Wielu z nich, przybyłych do Sigmaringen na właśnie zakończone zawody, pozostało nieco dłużej, aby tylko uczestniczyć w starcie tegorocznego mistrza Ligi Naddunajskiej.

Kimś, kto z całą pewnością nie narzekał na przedłużenie pobytu wędkarzy w Sigmaringen, był właściciel oberży „U Wędkarzy”. Po południu ósmego sierpnia, a więc na dwa dni przed terminem wyznaczonym przez naszego laureata jako początek podróży, ponad trzydziestu biesiadników nadal wiodło tu wesołe życie, spędzając czas w głównej sali gospody. Należy zaznaczyć, że wpływy do kasy w tym przybytku odzwierciedlały niemalże nieograniczone możliwości przepastnych gardeł owej klienteli.

Jednak pomimo bliskości wydarzenia, które zatrzymało wszystkich ciekawskich w stolicy księstwa Hohenzollern, wieczorem

zweŋ na „Srbŋske novine”; od 1843 roku do marca 1849 dwutygodnik, do koŋca 1872 roku trzytygodnik; w 1873 roku wznowiona jako dziennik, jej wydawanie kontynuowano z duŝymi przerwami w czasie I wojny ůwiatowej.

¹ *Românul* – gazeta polityczna i literacka wydawana w Bukareszcie od 1857 do 1905 roku.

ósmego sierpnia przedmiotem rozmowy w obojętnej „U Wędkarzy” nie był jego bohater. Tematem ogólnej, bardzo burzliwej rozmowy stały się bowiem zupełnie inne wypadki, o wiele ważniejsze dla mieszkańców brzegów wielkiej rzeki.

Emocje zebranych nie dziwiły ani nie było w nich przesady, gdyż w pełni uzasadniały je omawiane fakty.

Otóż od kilku miesięcy brzegi Dunaju były pustoszone przez napady rabunkowe. Trudno było już zliczyć obrabowane gospodarstwa, splądrowane zamki, włamania do willi, a nawet morderstwa, gdyż kilka osób zapłaciło życiem za opór, gdy próbowało się przeciwstawić nieuchwytnym przestępcom.

Rzecz jasna takiej serii zbrodni nie mogło popełnić tylko kilku osobników. Z pewnością musiała to być dobrze zorganizowana i liczna – sądząc po jej wyczynach – banda.

Co szczególne, banda działała wyłącznie w bezpośrednim sąsiedztwie Dunaju. Po obu stronach rzeki nigdy żadne przestępstwo nie zostało popełnione dalej niż dwa kilometry od biegu Dunaju. Jednak to ograniczenie zasięgu działań odnosiło się tylko do jego szerokości. Co do długości, to w równym stopniu plądrowane były brzegi austriackie co węgierskie, serbskie czy rumuńskie, nigdzie też nie udało się złapać bandytów na gorącym uczynku.

Po dokonaniu napadu ulatniali się do czasu następnego przestępstwa popełnianego nawet o setki kilometrów od poprzedniego. Nie zostawały po nich najmniejsze ślady. Wydawało się, że jakby wyparowały, podobnie zresztą jak i całe mnóstwo wszystkich materialnych przedmiotów, czasami całkiem dużych i nieporęcznych, stanowiących ich łupy.

Rządy krajów dotkniętych tą falą przestępstw w końcu poważnie się zaniepokoiły kolejnymi niepowodzeniami, prawdopodobnie wynikającymi z braku współpracy.

Podjęto na ten temat rozmowy dyplomatyczne, i jak podawała prasa właśnie tego ranka, ósmego sierpnia negocjacje doprowa-

dziły do utworzenia międzynarodowych sił policyjnych rozmieszczonych wzdłuż całego biegu Dunaju. Dowodzić tą formacją miała jedna osoba. Wyznaczenie głównodowodzącego okazało się szczególnie trudne, ale w końcu zgodzono się na niejakiego Karla Dragosza¹, węgierskiego detektywa dobrze znanego w całym regionie.

Rzeczywiście Karl Dragosz był naprawdę wybitnym policjantem, a trudna misja nie mogła zostać powierzona bardziej odpowiedniej osobie. Był czterdziestopięcioletnim mężczyzną przeciętnej budowy, raczej chudym, a jego siła wynikała bardziej z przewagi ducha nad ciałem. Miał jednak dość wigoru, by znosić męczące zadania właściwe dla policyjnej profesji, a i dość odwagi, by stawiać czoła licznym niebezpieczeństwom. Oficjalnie mieszkał w Budapeszcie, najczęściej jednak, zajęty prowadzeniem jakiegoś skomplikowanego śledztwa, przebywał w terenie. Przydawała mu się świetna znajomość języków ludów południowo-wschodniej Europy, w tym niemieckim i rumuńskim, serbskim, bułgarskim oraz tureckim, nie wspominając o ojczystym węgierskim. Był kawalerem, więc brak rodziny pozwalał mu na nieskrępowane przemieszczanie się zgodnie z potrzebą chwili.

Jego nominacja miała, jak to się mówi, dobrą prasę. Opinia publiczna jednogłośnie go zaakceptowała. Także w dużej sali „U Wędkarzy” wiadomość została przyjęta ze szczególnym zadowoleniem.

– Nie można było lepiej wybrać – stwierdził pan Ivetozar, zdobywca drugiej nagrody w konkursie w kategorii wagi, w chwili gdy w gospodzie zapalono wieczorne lampy. – Znam Dragosza. To jest ktoś.

– Bardzo, bardzo zręczny człowiek... – dodał przewodniczący Miclesco.

¹ We francuskim oryginale Dragoch.

– Miejmy nadzieję – wykrzyknął Chorwat o trudnym do wymówienia nazwisku Svrb, właściciel farbiarni na jednym z przedmieść Wiednia – że uda mu się doprowadzić do porządku brzegi Dunaju. Prawdę mówiąc, życie tam stało się już nie do zniesienia!

– Karl Dragosz będzie miał twardy orzech do zgryzienia – odezwał się Niemiec Weber, kręcąc z powątpiewaniem głową. – Trzeba najpierw zobaczyć go w akcji.

– W akcji...!? – zawołał pan Ivetozar. – Ależ nie ulega wątpliwości, że już się do niej zabrał!

– Z pewnością! – zgodził się pan Miclesco. – Karl Dragosz nie należy do ludzi marnujących swój czas. Jeśli mianowano go cztery dni temu, jak podają gazety, to już przynajmniej od trzech dni prowadzi działania.

– Ciekawe, od czego zaczniesz? – rozważał pan Piscea¹, Rumun o nazwisku jak znalazł dla wędkarza. – Przyznam, że na jego miejscu byłbym w wielkim kłopotcie.

– Właśnie dlatego, drogi panie, nie jesteś na jego miejscu – odparł z prostotą pewien Serb. – Możesz być pan pewien, że Dragosz nie ma z tym żadnego kłopotu. Co do jego planu, to już inna sprawa. Może pojechał do Belgradu, a może został w Budapeszcie... A może wpadł na pomysł, aby zawitać tutaj, do Sigmaringen, i kto wie, czy nie ma go w tej chwili razem z nami w gospodzie „U Wędkarzy”!

Przypuszczenie to wywołało powszechną wesołość!

– Razem z nami...! – wołał pan Weber. – Robisz nas pan w konia, Michajlu Michajłowiczu²! A co on by tutaj robił, gdzie nie ma nawet śladu po żadnym przestępstwie?

– Ejże! – odparł Michajlo Michajłowicz. – A może jest tu po to, by pojutrze uczestniczyć w wyjeździe Ilii Brusa. Może jest

¹ Piscea (rum.) – ryby.

² We francuskim oryginale Michael Michaelovitch.

zainteresowany tym człowiekiem... Chyba że Ilia Brus i Karl Dragosz to jedna i ta sama osoba.

– Co ta ma znaczyć „jedna i ta sama osoba”?! – wołano ze wszystkich stron. – Co masz na myśli?

– Tam do licha! To dopiero by było! Przecież nikt by nie podejrzewał, że w skórze zwycięzcy konkursu chowa się policjant, który tym sposobem mógłby swobodnie kontrolować Dunaj.

Przypuszczenie było tak kuriozalne, że pijący szeroko otworzyli oczy. Ten Michajlo Michajłowicz...! On to miał pomysły!

Ale Michajlo Michajłowicz nie przejmował się bynajmniej i brnął w obranym kierunku.

– Chyba że... – zaczął, znów rozpoczynając zdanie od wyraźnie ulubionego przez siebie zwrotu...

– Chyba że?

– Chyba że Karl Dragosz miałby zgoła inny powód, by tu przyjechać – kontynuował, przechodząc bez wstępów do kolejnej już, nie mniej fantastycznej hipotezy.

– Powód? Jaki powód?

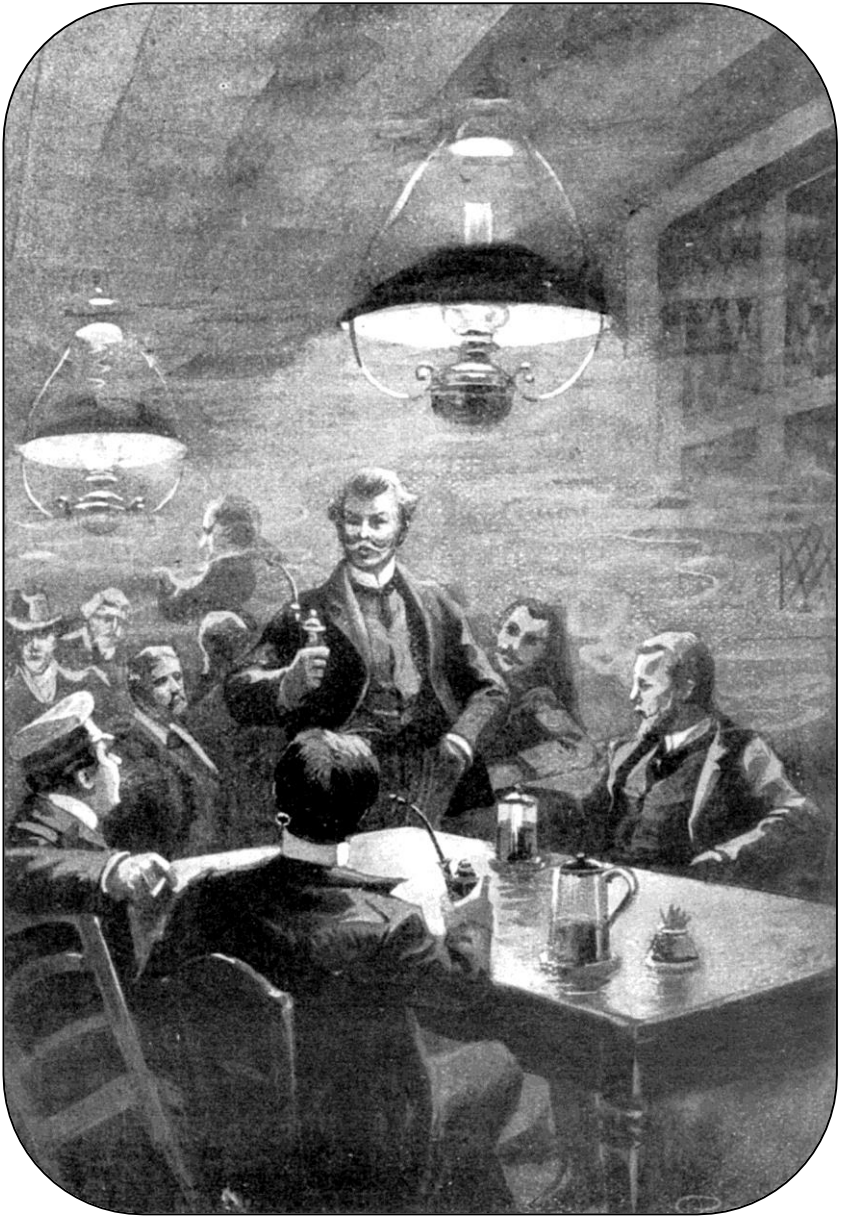
– Załóżmy na przykład, że cała ta historia spływania nurtem Dunaju z wędką w rękę wydaje mu się podejrzana.

– Podejrzana...! Dlaczego podejrzana?!

– Do pioruna! Przecież to nie byłoby takie głupie, gdyby bandzior ukrywał się w skórze wędkarza, i to jeszcze tak znanego! Taka wielka fama warta jest wszystkich *incognito* świata! Mógłby spokojnie dokonać ze stu napadów, kiedy by mu się tylko podobało, pod warunkiem że tymczasem dla niepoznaki coś by tam połowił.

– No tak, ale trzeba umieć łowić ryby – zaprotestował z powagą przewodniczący Miclesco – a to przywilej zarezerwowany dla ludzi uczciwych.

Ta uwaga z gatunku moralnych, choć może nieco ryzykowna, została przyjęta przez wszystkich tych zagorzałych wędkarzy



Przypuszczenie było tak kuriozalne, że pijący szeroko otworzyli oczy.
Ten Michajło Michajłowicz...! On to miał pomysły!

z niekłamanym uniesieniem. Michajło Michajłowicz z niezwykle u niego taktem wykorzystał ogólny entuzjazm.

– Zdrowie pana przewodniczącego! – wykrzyknął, unosząc kieliszek.

– Zdrowie pana przewodniczącego! – powtórzyli zgromadzeni, opróżniając kielichy jednym, równoczesnym gestem.

– Zdrowie pana przewodniczącego! – powtórzył siedzący dotychczas na uboczu gość, który od jakiegoś czasu wydawał się żywo zainteresowany toczącą się wokół niego wymianą zdań.

Pana Miclesco mile połechtało uprzejme zachowanie nieznanego i w podzięcie teraz to on wznosił toast za obcego jegomością. Ten, przyjmując zapewne, że tym samym lody zostały dostatecznie przełamane, uznał się za upoważnionego, by podzielić się swoimi wrażeniami z szanowną kompanią.

– Dobrze powiedziane, na Boga! – rzekł. – Tak, z całą pewnością łowienie ryb to rozrywka ludzi uczciwych.

– Czy przypadkiem nie mamy przyjemności z kolegą po fachu? – zainteresował się przewodniczący Miclesco, podchodząc do nieznanego.

– Och! – odpowiedział ów skromnie. – Co najwyżej z amatorem pasjonującym się pięknymi połowami, ale niemającym odwagi, by naśladować lepszych od siebie...

– Wielka szkoda, panie...?

– Jaeger.

– Szkoda, panie Jaeger, bo to by oznaczało, że nigdy nie dostąpimy zaszczytu zaliczenia pana w poczet członków Ligi Nadunajskiej.

– Kto wie? – odpowiedział pan Jaeger. – Może któregoś dnia zdecyduję się, by przyłożyć rękę do... to jest pochwycić wędkę... chciałem powiedzieć... to znaczy stać się jednym z was, jeśli rzecz jasna spełniłbym warunki przyjęcia.

– Proszę być dobrej myśli – oświadczył pospiesznie pan Miclesco, podekscytowany nadzieją na zwerbowanie nowego członka ligi. – Są tylko cztery bardzo proste warunki. Pierwszym z nich jest uiszczenie skromnej opłaty rocznej. I to jest warunek podstawowy.

– Oczywiście – zgodził się ze śmiechem pan Jaeger.

– Drugi to zamiłowanie do wędkowania. Trzeci to bycie miłym towarzyszem, i uważam, że ten trzeci warunek już pan spełnił.

– Jest pan zbyt uprzejmy! – podziękował pan Jaeger.

– Co do czwartego, polega on jedynie na wpisaniu nazwiska i adresu na liście członków stowarzyszenia. Nazwisko już znamy, a zatem, gdy poznam pański adres...

– Leipzigerstrasse czterdzieści trzy, Wiedeń.

– Stanie się pan pełnoprawnym członkiem Ligi za cenę dwudziestu koron rocznie.

Obaj panowie roześmiali się serdecznie.

– Żadnych innych formalności? – zapytał pan Jaeger.

– Żadnych.

– Nie trzeba pokazywać dokumentów?

– Ależ, panie Jaeger – zaprotestował pan Miclesco – żeby łowić ryby...!

– Tak po prostu... No cóż, to i tak bez znaczenia. Zapewne w Lidze Naddunajskiej wszyscy się dobrze znają.

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczył Miclesco. – Niech pan pomyśli! Niektórzy nasi towarzysze mieszkają tutaj, w Sigmaringen, a inni aż na wybrzeżu Morza Czarnego. Nie sprzyja to podtrzymywaniu stosunków sąsiedzkich.

– Rzeczywiście!

– Jest to dokładnie przypadek naszego zdumiewającego zwycięzcy ostatniego konkursu...

– Ilii Brusa?

– Tego samego. No, cóż. Nikt go tu nie zna.

– Niemożliwe!

– Tak jest – potwierdził pan Miclesco. – Słowo daję! Do Ligi należy nie dłużej niż od dwóch tygodni. Dla nas tu wszystkich Ilia Brus był wielką niespodzianką, co ja mówię, prawdziwym objawieniem!

– To *outsider*, jak to się mówi w wyścigowym stylu.

– Otóż to.

– Z jakiego kraju pochodzi nasz *outsider*?

– Jest Węgrem.

– To tak jak pan, bo pan jest Węgrem, jak sędzę, panie przewodniczący?

– Czystej krwi, panie Jaeger. Węgrem z Budapesztu.

– Podczas gdy Ilia Brus...?

– Jest z Szalki.

– A cóż to za Szalka?

– To wioska, no może małe miasteczko na prawym brzegu Ipoly, rzeki wpadającej do Dunaju kilka mil powyżej Budapesztu.

– No to, panie Miclesco, przynajmniej z nim może pan utrzymywać dobrosąsiedzkie stosunki – zauważył ze śmiechem pan Jaeger.

– W każdym razie nie przed upływem dwóch lub trzech miesięcy – odpowiedział tym samym tonem przewodniczący Ligi Naddunajskiej. – Tyle czasu będzie potrzebował na swoją podróż. . .

– Chyba że do niej nie dojdzie! – zasugerował żartobliwie Serb, bez ceremonii przyłączając się do rozmowy.

Zbliżyli się i pozostali wędkarze. Pan Jaeger i pan Miclesco znaleźli się w centrum małej grupki.

– Co pan masz na myśli? – chciał wiedzieć pan Miclesco. – Masz pan bujną wyobraźnię, Michajlu Michajłowiczu!

– To tylko taki żarcik, drogi panie przewodniczący – odparł zapytany. – Jeśli jednak według pana Ilia Brus nie może być ani policjantem, ani przestępcą, to dlaczego nie miałyby sobie z nas zakpić i być zwyczajnym dowcipnisiem?

Pan Miclesco wypowiedź tę potraktował nadzwyczaj poważnie.

– Jesteś złośliwy, Michajlu Michajłowiczu – odpowiedział. – To pewnego dnia zemści się na tobie. Ilia Brus wydał mi się dobrym i poważnym człowiekiem. Ponadto jest członkiem Ligi Naddunajskiej. To mówi wszystko.

– Bravo! – zakrzyczano ze wszystkich stron.

Michajlo Michajłowicz bynajmniej nie wyglądał na zbitego z pantafelku otrzymaną reprimendą. Przeciwnie, z godną podziwu przytomnością umysłu ponownie wykorzystał okazję, by wznieść toast.

– W takim razie – powiedział, chwytając swój kufel – za zdrowie Ilii Brusa!

– Za zdrowie Ilii Brusa! – zawtórowali chórem zebrani, nie wyłączając pana Jaegera, który sumiennie opróżnił swoją szklanicę do ostatniej kropelki.

Jednak ten ostatni „żarcik” Michajla Michajłowicza nie był tak całkiem pozbawiony sensu jak poprzednie. Ilia Brus po ogłoszeniu z wielkim hukiem swojego projektu więcej się nie pojawił. Nikt o nim nawet nie słyszał. Czy to nie dziwne, że trzymał się tak bardzo na uboczu? Przypuszczenie, że chciał zdobyć sławę kosztem łatwowiernych wędkarzy mogło być jednak uzasadnione. Zresztą, aby się przekonać, nie trzeba było zbyt długo czekać. Za trzydzieści sześć godzin wszystko miało stać się jasne.

Wystarczyło, by zainteresowani wydarzeniem udali się kilka mil w górę rzeki od Sigmaringen. Jeśli Ilia Brus jest poważnym i godnym zaufania człowiekiem – jak utrzymywał przewodniczący Miclesco – z pewnością go tam spotkają.

Tymczasem jednak mogła się pojawić pewna trudność. Bo czy rzeczywiście ustalono źródło wielkiej rzeki? Czy mapy je dokładnie wskazywały? Czy nie istniały w tej kwestii jakieś kontrowersje i czy nie zdarzy się tak, że ktoś zechce żegnać Ilię

Brusa w jednym miejscu, podczas gdy on sam będzie wypływał w innym?

Rzecz jasna nie ulega wątpliwości, że rzeka Dunaj, przez starożytnych nazywana Ister, bierze swoje początki w Wielkim Księstwie Badenii. Geografowie twierdzą nawet, że punkt ten leży na sześciu stopniach dziesięciu minutach długości geograficznej wschodniej i czterdziestu siedmiu stopniach czterdziestu ośmiu minutach szerokości geograficznej północnej¹. Ale nawet te dane nie określają zbyt precyzyjnie samego miejsca, gdyż odnoszą się tylko do minut na łuku, nie zaś do sekund. I ten brak daje już dość spore pole do popisu. Tymczasem chodziło przecież o zarzucenie wędki dokładnie w tym samym miejscu, gdzie pierwsza kropla dunajskiej wody rozpoczyna swój bieg w kierunku Morza Czarnego.

Według legendy, którą przez długi czas brano za prawdę naukową, Dunaj brał swój początek pośrodku ogrodu książąt Fürstenberg². Jego kolebką miała być marmurowa sadzawka³, do której pielgrzymowało wielu wędrowców, aby zaczerpnąć z niej wody. Czy zatem to na obramowaniu tego niewyczerpanego akwenu należy spodziewać się Ilii Brusa rankiem dziesiątego sierpnia?

Nie, gdyż nie jest to prawdziwe źródło wielkiej rzeki. Obecnie wiemy już, że tworzy je zbieg dwóch potoków, Breg i Brigach⁴, spływających z wysokości ośmiuset siedemdziesięciu pięciu

¹ Źródła Dunaju znajdują się w miejscowości Donaueschingen, a ich współrzędne to 47°57' N i 8°30' E, ale rzeka zaczyna być spławna dalej.

² *Fürstenberg* – ród książęcy wywodzący się z rejonu Szwabii położonego w pobliżu źródeł Dunaju.

³ Sadzawka (fontanna), hydrogeologicznie wywierzyisko, znajduje się w ogrodzie pałacowym w miejscowości Donaueschingen, pod którą łączą się dwa strumienie tworzące Dunaj: Brigach i Breg.

⁴ Brigach ma źródła na wysokości 925 m, a Breg na wysokości 1078 m.

metrów przez lasy Szwarzwaldu¹. Ich wody mieszają się w Donaueschingen, kilka mil w górę rzeki od Sigmaringen, a następnie łączą się pod jedną nazwą Donau, dla Francuzów zaś – Danube.

Gdyby tylko jeden z tych potoków bardziej niż drugi zasługiwał na uznanie go za początek rzeki, byłby to zapewne Breg, gdyż jest dłuższy o trzydzieści siedem kilometrów i ma swój początek w Brisgau.

Cóż, zainteresowani startem i dobrze zorientowani w rzecznych sprawach uznali, że punktem wyjścia dla Ilii Brusa – jeśli w ogóle dojdzie do startu – będzie Donaueschingen, i tam też udała się większość towarzystwa z Ligi Naddunajskiej z przewodniczącym Miclesco na czele.

Dziesiątego sierpnia od samego rana nad brzegiem Bregu, u zbiegu dwóch strumieni oczekiwano Ilii Brusa. Ale godziny mijały, a bohatera dnia nie było ani widu, ani słyhu...

– Nie przyjdzie – powiedział ktoś.

– To mistyfikator – powiedział inny.

– A my sterczymy tu jak te durnie... – dodał Michajło Michajłowicz z wyraźnym triumfem w głosie.

Tylko przewodniczący Miclesco trwał po stronie Ilii Brusa.

– Nie – przekonywał pozostałych – nigdy nie uwierzę, że członek Ligi Naddunajskiej mógłby oszukać swoich kolegów...! Ilija Brus się spóźni. Bądźmy cierpliwi. Wkrótce zobaczymy, jak nadchodzi.

Pan Miclesco miał całkowitą rację, okazując swe zaufanie. Tuż przed dziewiątą z grupy stojącej u zbiegu potoków Breg i Brigach dobiegł okrzyk:

– To on...! To on!

¹ *Szwarcwald* – zrębowy maszyn górski w południowo-zachodnich Niemczech rozciągający się od południowego krańca do środka Badenii-Wirtembergii na długości ok. 160 km – od Waldshut-Tiengen na południu do Pforzheim na północy.

Dwieście kroków powyżej, na zakręcie pojawiła się łódka wyposażona w śrubówkę¹, płynąca wzdłuż brzegu, utrzymywana jak najdalej od wartkiego tu nurtu. Sterował nią samotny mężczyzna stojący na rufie.

Był to rzeczywiście ten sam człowiek, który kilka dni wcześniej podczas konkursu Ligi Naddunajskiej zdobył dwie pierwsze nagrody – Węgier Ilia Brus.

Kiedy łódka dotarła do zbiegu obu strumieni, zatrzymała się i została przycumowana do brzegu bosakiem. Ilia Brus wysiadł na ląd, a wszyscy zaciekawieni tłoczyli się wokół niego. Bez wątplenia nie spodziewał się aż tak licznej asysty, i wyraźnie wyglądał na speszonego.

Przewodniczący Miclesco zbliżył się i wyciągnął do niego rękę, którą Ilia Brus po zdjęciu wydrowej czapki uścisnął z szacunkiem.

– Ilia Brus – powiedział z istic prezydencką godnością pan Miclesco – cieszę się, że ponownie widzę wielkiego zwycięzcę naszego konkursu.

Laureat głównej nagrody skłonił się w podzięce. Przewodniczący mówił dalej:

– Z tego, że spotykamy się u źródeł naszej wspaniałej międzynarodowej rzeki, wnioskuję, że przystępuje pan do realizacji swego projektu spłynięcia z biegiem Dunaju, wędkując, aż do ujścia.

– Tak, panie przewodniczący – potwierdził Ilia Brus.

– Więc wyrusza pan właśnie dzisiaj?

– Dzisiaj, panie przewodniczący.

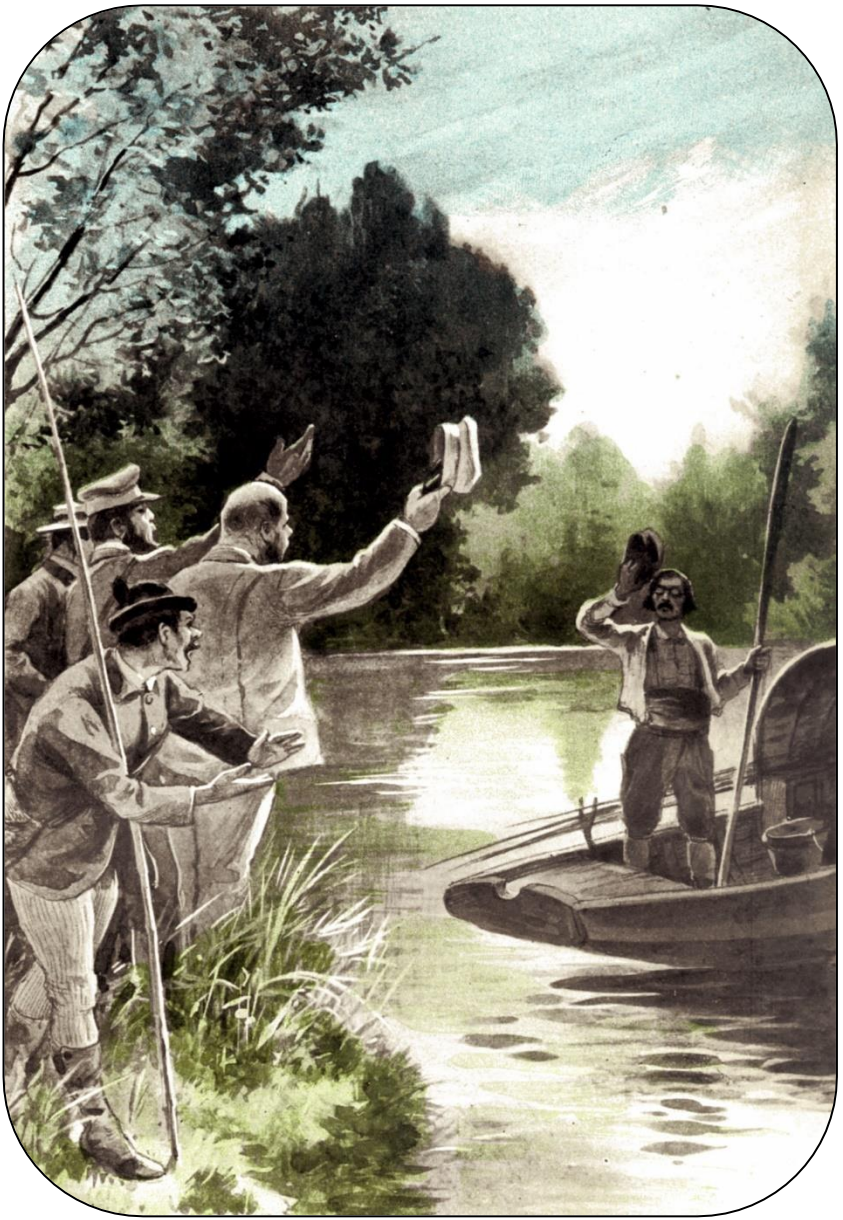
– Jak zamierza pan przebyć tę trasę?

– Pozwolę się nieść prądowi.

– W tej łodzi?

– W tej łodzi.

¹ *Śrubówka* – krótkie wiosło służące do śrubkowania, napędzania łódki jednym wiosłem zakładanym na dulce umieszczonej na środku rufy lub na stewie tylnej.



Ilia Brus po raz ostatni pozdrowił zgromadzonych i wrócił do swej łodzi.

- Bez żadnego odpoczynku?
- Nie, ale będę odpoczywał nocami.
- Czy pan zdaje sobie sprawę, że to aż trzy tysiące kilometrów?
- Przy dziesięciu ligach¹ dziennie dotrę do celu za mniej więcej dwa miesiące.
- A więc szczęśliwej podróży, Ilio Brus!
- Dziękuję, panie przewodniczący!

Ilia Brus po raz ostatni pozdrowił zgromadzonych i wrócił do swej łodzi, podczas gdy ciekawscy tłoczyli się nad brzegiem, by zobaczyć, jak będzie odpływał.

Pierwsze co zrobił, to wziął wędkę, nadział przynętę i odłożył wędzisko na jedną z ławek. Potem odepchnął łódkę energicznym pchnięciem bosaka, a następnie usiadł na rufie i zarzucił wędkę.

Chwilę później porwał go już nurt, na haczyku zaś trzepotała brzana². Wyglądało to na szczęśliwą wróżbę. Zgromadzeni na brzegu wiwatowali zawzięcie, wykrzykując swe szalone *hoch!* żegnając w ten sposób laureata Ligi Naddunajskiej.



¹ *Liga* – dawna francuska miara długości, odległość pokonywana przez pieszego w ciągu godziny; po przyjęciu systemu metrycznego przyjęto, że odpowiada długości 4 km.

² *Brzana* (*Barbus barbus*) – ryba słodkowodna z rodziny karpowatych, zamieszkuje głównie odcinki rzek o twardym, kamienistym dnie i bystrym prądzie; występuje w całej zachodniej i środkowej Europie oraz w środkowej i południowej Anglii, w Alpach również w jeziorach; maksymalna długość 90 cm, ciężar do 15 kg (średnio 50-60 cm i 2 kg).

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!